Nr. 19. Lwów, 1. października 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wspomnienia o dawnych polowaniach w Saksonii i dawnych towarzyszach myśliwskich.

Kiedy przyjechałem do Drezna, po 63 roku i tam zamieszkałem, jako myśliwy zaraz zacząłem się dopytywać, czy nie można tam polować. Adolf Czapski obiecał, że zawiezie mnie do znajomego nadleśniczego królewskiego, i że dostanę pozwolenie. Zaraz na drugi dzień pojechaliśmy na Nowe miasto i zastaliśmy go w kancelaryi.

Nazywał się Graf — bardzo grzecznie nas przyjął i rzeczywiście dostałem pozwolenie. Ale biednemu Czapskiemu odmówił — bo przeszłej jesieni postrzelił babę w Grossgarten i psa leśniczemu, za którego musiał zapłacić! dość, że biedny Adolf ze spuszczonym nosem — bez pozwolenia, wrócił z niczem. Pozwolenie takie wydają na imię proszącego, a równocześnie piszą do rewirowych, a oni raz, a jak potrzebują więcej zwierzyny, to dwa razy na tydzień zawiadamiają kartką, że w tem, a w tem miejscu czekać będą. Przyjeżdża się — i poluje kilka godzin.

Takich rewirów bierze się kilka, by kilka dni w tygodniu można polować. Zaraz dobrałem sobie towarzysza Adama Roztworowskiego, bardzo dobrego i zapalonego strzelca, z którym jeździliśmy i dużo zabijaliśmy. Kuropatw tam mnóstwo. Polowanie odbywa się bez psa, naprzykład we trzech, idzie się prosto przez kartofle, kapustę, konicz, co po drodze, strzela się — a gdy stado siędzie choćby o sto kroków na boku, nie można za niem iść — ale i nie trzeba, bo w trzechmorgowych kartoflach ruszy się 17—20 stad, a w cztery godziny we dwóch, (bo leśniczy nie strzela) zabijaliśmy zawsze do dwustu kuropatw. Za każdym strzelcem szła baba z koszem na plecach i zabierała zwierzynę, pies chodził za nogą i tylko postrzałki dołapywał. Po Roztworowskim był Józef Wielopolski, bardzo dobry myśliwy i strzelec,

z którym bardzo dużo polowałem. Nie chwalę się, ale raz mnie przestrzelił, a to palnął w rządku do biegnących kuropatw i zabił na jeden strzał siedm — z drugiej lufy jedną.

Zwierzyna należała naturalnie do króla, ale można było kupić u leśniczego.

Pamiętam raz z Wielopolskim polowaliśmy na stawie; ja zabiłem cztery cyranki, on zaś krzyżowe kaczki, a po polowaniu każdy kazał sobie dać swoje. Przy rachunku leśniczy mówi, te duże po talarze za sztukę, te małe po cztery silbery, a ja myślałem, że za cyranki drożej mi wypadnie zapłacić. Miła niespodzianka! Wtedy bażantów kilka padło, także po talarze zapłaciliśmy. Kuropatwa 4 silbery. Zajęcy w Blasewitzkim rewirze nie strzelaliśmy. Czasem w Grosse Greupe, koło Pilnitz można było je strzelać, gdzie był nadleśniczy Gerlach, znakomity myśliwy i strzelec. Miał do 70 lat, a tak chodził, że młodzi mu nadążyć nie mogli — bywało brał drukiery, rozstawił nas kilku, jednego pod krzaczkiem, drugiego pod bruzdą, a sam flankę zajął i kiedy na flankę szedł zając, to on jak kula kopnął się za nim, wtedy zając się zbliżył do niego, a ten zatrzymał się i zawsze zabił. Po pomknięciu zająca poznawał, czy samiec, czy samica i krzyczał: strzelaj albo nie.

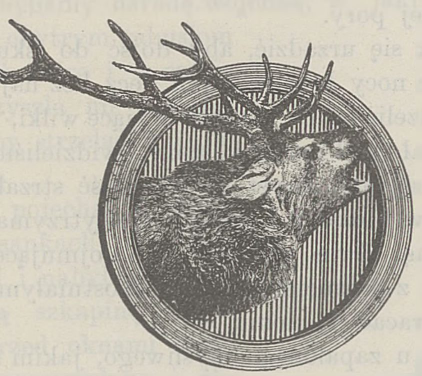
Już nie pamiętam, w którym roku zamieszkał Artur Sumiński w Dreznie, zdaje się po francusko-pruskiej wojnie. Znakomity myśliwy! Więc naturalnie zaraz poznaliśmy się, mówię mu, jak tu polują — mówi dobre i to, ale trzeba się starać mieć swoje polowanie. Przypadkowo dowiadujemy się, że ambasady zwijają w Dreznie i jest 3.000 morgów pola i tyleż lasu bardzo ładnego polowania po angielskim ambasadorze do wzięcia. Graniczy z puszczą drezdeńską (Dresdener Haide), gdzie jest 500 stojących jeleni, cietrzewi, sarn dużo, i drobnej zwierzyny w polu. Zaraz się tem zajął i polowanie było nasze — wprawdzie drogo zadzierżawione, ale się wypłacało zwierzyną. Wtedy kolonia polska była liczna, ze sto kilkadziesiąt osób — i myśliwych dużo. Z Galicyi L. Szawłowski, dwaj Cieleccy, ojciec i syn, Alfred i Artur. Artur jeszcze bardzo młody — tam się pierwszy raz wprawiał w rzemiośle myśliwskim, Piwnicki, Borzeski, Engieström i wielu innych. Brało się omnibus na 14 osób i ruszaliśmy bardzo rano polować — nagonki kilkunastu starych chłopów i zaraz do lasu — a tam już tylko pieszo chodziliśmy. Były to bardzo wesołe zabawy myśliwskie, bo było się młodym i myśliwym. W pierwszych latach było dużo, potem mniej zwierzyny, ale nigdy z próżnemi rękami nie wracaliśmy i było o czem w drodze pogawędzić. Pamiętam strzeliłem do słonki, pokazuję, jak się pierze posypało — a Szaweł mówi całkiem seryo — czemuś kochanie do pierza a nie do mięsa strzelał? i śmiech! To znowu ktoś zabił zająca, mówi, że na sto kroków, więc Szawłowski zaraz liczy i pokazuje się, że 45. Wesołe to były czasy. Jednego karnawału były ostatki polowania i tańców. Pamiętam, żeśmy po całych dniach polowali, a całe noce tańczyli. A teraz nie rozumiem, jak to człowiek wytrzymał! Otwarcie polowania w Saksonii na kuropatwy zawsze 1-go września. Pierwszy raz wybraliśmy się z Sumińskim we dwóch — powóz i konie angielskie były od Mancha, bardzo szybkie — jechało się półtorej godziny — ale zdawało się, że się ledwie dowleczemy — tak nam pilno było. Dozorca polowania na nas czekał, nie dojechawszy do wsi wysiedliśmy — Sumiński niedowierzająco na mnie spogląda i mówi: „Wiesz co — kto co zabije, to do niego należy“, ja mówię: dobrze. On miał doskonałego psa, pointera i bardzo rozumnego, (o rozumie powiem potem) i zawsze jak pies stanął, Sumiński szedł na prawo, ja na lewo — porwały się — i zawsze dwie na prawo padły, a dwie na lewo — tak, że po polowaniu było zawsze do dwustu kuropatw. Zawsze baby były z koszykami. „Wiesz co, mówi Sumiński — możemy strzelać do kupy“ i od tego czasu zawsześmy do kupy strzelali — a takieśmy się pokochali, że dwaj rodzeni bracia więcej nie mogli, to też on był moim najlepszym przyjacielem w życiu i najmilszym towarzyszem! Potem on kupił majątek na Śląsku pruskim, koło Saganu i tam jeszcześmy polowali razem w kniei i na toku cietrzewi i na ciągu słonek. I jeszcze byliśmy razem, bo tam często bywałem, a on do Drezna przyjeżdżał, bo to blisko było, aż gdy kupił Ryńskie dobra w Poznańskiem, a ja zamieszkałem koło Brodów — wtedy nas rozłączyło dobrze. Jeszcze raz spotkaliśmy się, lecz już ostatni w Krakowie. Prosił mnie na polowanie do Słotwiny — już był bardzo chory — tak, że ze stanowiska na stanowisko musieliśmy go pod rękę prowadzić z Józefem Wielopolskim — który także był na tem polowaniu — pamiętam z tego ślicznego człowieka pozostał cień — odradzałem tych polowań! Mówił: „że musi jeszcze po raz ostatni ze mną zapolować“ i rzeczywiście było to jego ostatnie w życiu polowanie. Padły trzy lisy — ja pierwszego zabiłem, drugiego J. Wielopolski, trzeciego Artur Sumiński.

Artur już z tej choroby nie wyszedł, wkrótce umarł. Wielopolski jeszcze kilkanaście lat przeżył i kilka lat temu żywot zakończył. Z trzech nas, ja jeszcze poluję — więc moja wróżba o zabiciu trzech lisów sprawdziła się. Trzeciego on zabił i pierwszy umarł — drugiego Wielopolski — a teraz kolej na mnie — ale kiedy!? Tymczasem wypogadza się — trzeba jechać na kuropatwy. To dziwno u nas Ukraińców, że choć we wróżby się nie wierzy, to zawsze o nich się pamięta — tak było z tymi lisami i tylko czekałem — jak Józef umarł — myślę — sprawdziło się — i teraz niech zając przejdzie drogę — lub baba z próżnemi konewkami — albo spotkam księdza jadąc na polowanie, to mi się cały dzień przypomina, a jak się polowanie nie uda — myślę, że to wina baby — zająca lub księdza — ale precz wróżby, przecież ja w nie nie wierzę. Lecz tak sobie człowiek mówi — a pokryjomu coś tam za księdzem się rzuci — ot — od uroku.

Na Śląsku raz polowaliśmy na podchodnego, na rogacza — a był tam gajowy w nowym kożuchu i bardzo go było czuć — wtem rogacze zaczęły na niego szczekać i w kółko go obchodzić — tak, żeśmy go wzięli w środek — wtedy rogacz wyszedł zdaje się na Artura i on zabił. Także dziwny wypadek. Na polowaniu na kuropatwy, był z nami p. Narzymski, komedye dobrze pisał, ale strzelbę źle jakoś nastawiał i wciąż pudłował — śmieliśmy się z niego — aż tu na dwa strzały do kuropatw, zabił jedenaście — tyleśmy ich naspędzali do kapusty pod samą wieś. Jeleni mało padło. Zabił czternastaka Sumiński śrótem, na siedmnaście kroków na miejscu, przed nagonką po czarnej stopie i jeszcze jeden padł — już nie pamiętam, kto go zabił. Zapewne nie ja, bobym pamiętał. A raz po śniegu dano

nam znać, że trzy rogacze jeleni zatrzymały się w małym lasku. Nagonka pospieszyła i nim doszliśmy, już jelenia ruszyła. Najbliżej był Artur Cielecki, ten do nich strzelał i jeszcze kilku — myśmy tylko widzieli defiladę kłusem i po każdym strzale, przyspieszony kłus jeleni, bo to było na czystem polu. Także pod samą puszczą jadąc widzieliśmy 17-cie, ale już na cudzem polu — wszyscy rzucili się do strzelb — ale ja z Sumińskim powstrzymaliśmy ich zapędy — krzycząc: tu nie wolno strzelać, to już cudze pole, bo to było o sto kroków od naszego terytoryum. Ale widok był cudny — widać je było doskonale, księżyc jak w dzień świecił. Ustawa pozwoliła bić sarny, ale ich nie biliśmy pierwszych lat, dopiero w ostatnim roku zabito kilkanaście — biło się jelenie, cietrzewie, dużo zajęcy i kuropatw. Słonki w jesieni — zawsze ich kilkanaście padało. Lisa ani jednego nawet tam nikt nie widział.

Marceli Tyszkiewicz.



Z KARPAT.

Ranek jasny i zimny; na każdem źdźble trawy zawisła perła rosy, w której migają tęczowe kolory, połyskując zdala, jak rubiny, szmaragdy lub brylanty, a babskie lato, już w pełnym toku rozpostarło się na ziemi. Srebrne nici, uwite w artystyczne desenie, porozwieszane na polanach, wyglądają jak szron, przezroczyste, delikatne, chwiejne; inne kołyszą się w górze, czepiając się krzaków lub drzew, spotykanych w podróży nadpowietrznej. Wartkie potoki, mrucząc, niosą swe fale przeźroczyste z kamienia na kamień, które obficie wyścielają ich koryta, nad nimi zaś rozsiadły się pagóry, jak czarownice lub wiedźmy, radząc i marząc od wieków, by marzyć do skończenia świata. Barwa jesienna drzew, ta malownicza i krasna, w lasach naszych karpackich jest to cudo przyrody, arcydzieło Największego Mistrza. Zdala słychać pilnego dzięcioła, który szukając pożywienia, pracowicie kuje po drzewach, tu sikorka zaświergocze, wesoło uganiając z gałęzi na gałązkę, tam mysz sunie z szelestem po rudych, suchych liściach, a w górze muchy brzęczą jednostajnie. Wszystko to jednak tak harmonijne, tak należące do całości, że niczem nie mąci powagi tej uroczej ciszy leśnej.

W tem z gór leci głos, który jak orkan dominuje nad wszystkiem, potężny i silny a dźwięczny, jak tysiąc organów naraz; leci on z góry na górę a echa niosą go w dal i budzą innych rywali w miłości. Już słychać dwa... trzy... cztery... nie zliczę już razem, bo głosy mieszają się i raz dalej, raz bliżej, ryczą jelenie karpackie.

Kłęby pary wysyłają z pyska w zimny ranek, łeb z wieńcem, którego białe końce połyskują zdala, jakby najeżone odnogami, przechylony w tył, chwieje się i słania w takt do tej muzyki nad muzykami. Rozparte na żylastych badylach, jak na żelaznych słupach, dźwigają potężne cielska, błyszcząc okiem złowrogo, szukając nieprzyjaciela, rywala. Tam stary, potężny czternastak skubie spokojnie trawę, raz po raz unosząc łba, nadsłuchuje, to troskliwem i pieszczotliwem prawie spojrzeniem ogarnia łanię, pasącą się tuż niedaleko. Głos jeden krótko i nie tak grubo, jak inne, po dwakroć bliżej się odezwał i ten tylko jeden go niepokoi, bo wtedy przerywa biesiadę i mrucząc złowrogo spogląda w tę stronę, raciami zaś kopie a wieńcem łamie gałęzie. Głos już blisko — wtedy czternastak, przychyliwszy głowę szybko, choć niedbale, ryknął tak potężnie, że inne jelenie umilkły na chwilę. Rywal jednak odezwał się znowu, głos jego już tuż, a trzask gałęzi zdradza, że nadchodzi, pełen otuchy do walki. Wtedy czternastak, posunąwszy się majestatycznie kilkanaście kroków naprzód, stanął na wzgórzu i stał tam, jak rycerz ze stali ukuty, patrząc poważnie, nieruchomy w dal. Nagle łania przestawszy skubać, spogląda ciekawie na przybysza, który wyłoniwszy się z gąszczów, staje oko w oko naprzeciw rywala. Tak chwilę stali królowie gór, wpatrzeni w siebie, mierząc się złowrogo.

Naraz czternastak, ryknąwszy krótko, jakby z okrzykiem wojennym ruszył z kopyta, spuściwszy łeb na dół, rogi skierowawszy w potężnego wroga, wyrzucając raciami mech i ziemię wysoko w powietrze. Lecz i rywal się nie lenił, bo powtórzywszy chrapliwie krótki okrzyk wojenny, sadził naprzód, by potężny cios sparować. Z trzaskiem i łomotem splotły się dwa wieńce, ośm badyli głęboko wryło się w ziemię z rozczapierzonemi raciami, oczy krwią nabiegły, wszystkie mięśnie i żyły napięte, chrapy rozdęte wyrzucają krótki oddech, raz po raz charczenie, to znów głuchy pomruk, odnogi oczne i średnie wymierzają razy z dziką namiętną siłą, korony zwinnie parują — to walka na śmierć i życie olbrzymów o pierwotnej sile — nagrodą rozkosze miłości.

A. Sumińshi.

Polowanie na wilki z okna.

Napisał H. v. Bülow.

W latach siedmdziesiątych byłem stacyonowany jako młody porucznik przy pułku ułanów w Galicyi, tuż przy rosyjskiej granicy. Cztery koszary plutonowe dla szwadronu, złożone z mieszkań oficerskich i ułańskich stajen, ujeżdżalni, kantyny, której dzierżawcą był brudny żyd, a któremu towarzyszyła niemniejszych zalet wielce kochana małżonka, — prócz innych przynależności szwadronu — to wszystko leżało w lesie i stanowiło eldorado, w którem miałem przebyć długą, srogą zimę.

Najbliższe miasteczko, brudna mieścina, w której można było po deszczu, albo w sezonie tajania śniegu w prawdziwem morzu błota utonąć, leżało o trzy mile, a w zimie byliśmy przez śniegi odcięci od świata. Do najbliższej stacyi kolei mieliśmy dziesięć mil. Przesyłki pocztowe, gazety i t. d. dostawaliśmy wskutek zawiei nieraz dopiero po dwu tygodniach

Jesień była jeszcze jako tako znośna. Oprócz mnie byli jeszcze trzej bardzo mili oficerowie w szwadronie, wszyscy myśliwi. Łowy nastręczały się obficie i mieliśmy w nich ciągłą odmianę: wilków, lisów, dzików i kozłów była moc; mieliśmy pomyślne ciągi słonek, również odbywaliśmy wycieczki na błota o milę oddalone, gdzieśmy strzelali różnorodne ptaki błotne i wodne. Bywaliśmy także u sąsiednich właścicieli ziemskich na polowaniach, które nastręczały wiele przyjemności.

Jesień się kończyła, starych żołnierzy rozpuszczono na urlop, wstąpili do służby rekruci, z którymi rozpoczęła się zimowa szkoła. Wskutek tego postradałem też swoich trzech kolegów i towarzyszy polowania, których odkomenderowano na sześć zimowych miesięcy. Zostałem zatem jako najmłodszy oficer przy szwadronie, sam z moim surowym panem i przełożonym, panem rotmistrzem i naczelnikiem szwadronu ,którego wspierała radą i pomocą kochająca, lecz także bardzo surowa pani rotmistrzowa, przezwana komendantką. Właściwie, prawdę mówiąc, ona komenderowała szwadronem, a nie jej silniejsza połowica „pan rotmistrz“. Gdy chciałem stosunki poznać bliżej i zajrzałem w życie rodzinne tego starego, srogiego siwca i wiarusa, nie dziwiłem się już wcale. Był mocno zmartwiony, że przy egzaminie na majora padł i musiał skończyć na randze rotmistrza, podczas gdy jego słodka lepsza połowa jeszcze bardziej od niego samego była przekonana, że zapoznano jego wybitne taktyczno-strategiczne zdolności. Szukała zatem, nie mając szlachetnych latorośli z małżeństwa, odmiany i rozrywki w żołnierskiej służbie.

Stosunki te nie czyniły mi wprawdzie uszczerbku w służbie, lecz odstraszały mnie od szukania rozrywek w domu rotmistrzostwa.

Musiałem zatem wystarczyć sam sobie. Poza służbą, którą jako młody oficer wypełniałem z wielką ochotą, spędzałem moje wolne chwile na czytaniu, muzyce i polowaniu. Korzystałem z każdej sposobności, aby ze strzelbą i z psami podążyć w pole, lub do lasu. Zazwyczaj towarzyszył mi na tych wycieczkach mój służący, Polak, który się wkrótce wyrobił na tęgiego myśliwego. Do niego przyłączył się później ku mojej szczególnej radości konował szwadronu, Czech, władający dobrze językiem niemieckim, co mi było bardzo pożądane, gdyż wówczas umiałem jeszcze bardzo mało po polsku.

Po jesieni nastała zima rychło z wszystkiemi swojemi ponętami, które mi dotąd były nieznane.

Śnieg leżał na kilka stóp wysoko i powlókł się wskutek zimnego, z Rosyi wiejącego wiatru twardą skorupą, po której zwierzyna mogła chodzić, nie załamując się. Skorupa ta jednak była za słabą, aby nas utrzymać, toteż używaliśmy na wycieczkach prymitywnych obręczy własnego wyrobu, które w końcu okazały się doskonałe. Zima postępowała, dni były coraz krótsze. Dzień schodził na służbie, dla naszego ulubionego polowania pozostawał tylko długi wieczór i noce, lecz polowanie to nie nastręczało zbytnich przyjemności. Na co innego, jak wilka i lisa nie można było polować, bo kozły wychodziły z lasów w inną stronę szukać paszy, a zbliżyć się do kozła po śladach było niemożliwem wskutek skrzypienia śniegu. Przeto należało czekać przyjaźniejszej pory.

Ale jak się urządzić, aby dojść do skutku! Korzystaliśmy z nocy księżycowych, lecz bez najmniejszego wyniku. Słyszeliśmy co wieczór wyjące wilki, które głód przyprowadzał pod nasze koszary, widzieliśmy je, lecz nie zbliżały się one nawet na odległość strzału. Chociaż przyodziani w kożuchy i szuby, niewytrzymaliśmy dłużej niż jedną, dwie godziny w dojmującem zimnie i musieliśmy z próżnemi rękami i skostniałymi od zimna członkami wracać do domu.

Jednak u zapalonego myśliwego, jakim zawsze byłem i dotąd jestem, są pomysły wynalazcze. Tak i wtedy było. Słyszałem co noc, w łóżku leżąc, wilki wyjące i widziałem następnego dnia ich ślady prowadzące naokoło zabudowań wojskowych. Zapewne zgłodniałe wilki szukały żeru albo odpadków kuchennych.

Dawno już spoczywałem w objęciach Morfeusza, śniłem o służbie i o surowych przełożonych, kochanej rodzinie w dalekim kraju i t. p., gdy moje psy, które zawsze nocowały w pokoju, zaczęły się niepokoić. Ogień w piecu dawno był zgasł, odczuwałem srogie zimno, gdyż ściany mieszkania były bardzo cienkie. Mimo tego nie wytrzymałem w łóżku, prędko wyskoczyłem, ubrałem się jako tako, zdjąłem jednę ze strzelb ze ściany i popatrzyłem do okna, a rozjuszone psy tuż przy mnie. Spostrzegłem naprzeciw okna o 60 kroków siedzącego na sposób psa wilka, który od czasu do czasu zawył i do mego okna zaglądał. To było fatalne. Jeśli otworzę okno, aby strzelić, wilk ucieknie i tyle go będę widział. Postanowienie powziąłem w jednej chwili: przebiłem lufą okno, złożyłem się i strzał huknął. Wilk pada w ogniu, lecz w okamgnieniu się podnosi, wlecze się pomaleńku, znowu pada i znowu dalej się wlecze. Pomyślałem, że tym razem ma dość i nie uważałem za potrzebne, czego później mocno żałowałem, wpakować mu jeszcze drugi strzał w szarą, kudłatą skórę. Mój służący obudzony wystrzałem wszedł do pokoju, a dowiedziawszy się, co zaszło, ubrał się prędko i wybiegł i to nie ze strzelbą, lecz z tęgim kijem, by dobić i przywlec ciężko rannego wilka.

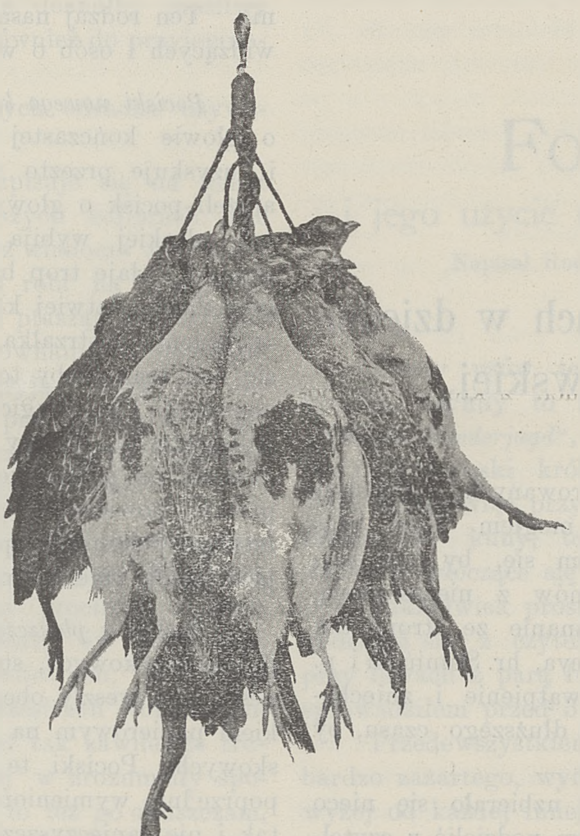
Gdy znowu wróciłem do okna, by patrzeć co się będzie działo, przepadł wilk bez śladu. Księżyc tymczasem zeszedł za lasy, a po ciemku byłoby szukanie daremne. Resztę nocy przebyłem prawie bezsennie, myśląc

bezustannie o wilku i robiąc sobie gorzkie wyrzuty, że nie dałem drugiego strzału. Przez wybitą szybę dostało się dyabelne zimno do pokoju, mimo, że służący zaraz zapalił w piecu i okno o ile możności zatkał. Ledwie dniało, gdy prędko wypiłem ciepłe śniadanie, aby na czas powrócić do służby i poszliśmy z konowałem i służącym szukać. Ślady wskazywały, żem dobrze trafił, barwa zaś dowodziła, że wilk nie mógł być daleko. Zbliżając się po śladach do lasu, ujrzeliśmy o jakich 150—200 kroków kilka wilków, które na nasz widok znikły w lesie. To nas zastanowiło, ale o dwadzieścia kilka kroków dalej znaleźliśmy rozwiązanie tej zagadki.

Śnieg był zdeptany śladami wielkiej ilości wilków i zabarwiony naokół krwią. Sierć i resztki kości wskazywały, że mój postrzelony wilk został przez swoich własnych kolegów, głodne bestye, do szczętu zjedzony.

Niezadowoleni wskutek niepowodzenia poszliśmy do domu.

Wieczorem pokazały się znowu wilki w pobliżu koszar. Odbyliśmy naradę wojenną, w jaki sposób mo żnaby tym chytrym rabusiom wygarbować skórę i w czasie narady przyszła mi szczęśliwa myśl, by strzelać z okna mojej budy.



Konował pojechał na drugi dzień na sankach do najbliższej wsi i nabył za 5 złr. wygłodniałą szkapinę, skórę i kości. Przed oknami mego mieszkania zastrzelono i obciągnięto skazanego na śmierć, a na ponętę przeznaczonego głodomora, którśby prawdopodobnie i tak był skończył niedługo nędzny swój żywot. Zbitą szybę w mojem mieszkaniu wyjęto i wstawiono w jej miejsce okienko na zawiasach do otwierania i zamykania. Służącemu kazałem podczas gdy pełniłem służbę, pilnować koło okna i zaraz mnie zawiadomić, jak się wilki do ścierwa zbliżą i zaczną godować.

Moje oczekiwanie jednak nie spełniło się. Wilki pokazywały się wprawdzie, jednak daleko, w pobliżu lasów. Powstrzymywał je od zbliżenia się do konia ruch w ujeżdżalni, trąbienie i t. d.

Po całodziennych trudach służbowych siedzieliśmy w pokoju mego mieszkania. Mój wierny służący napalił silnie w piecu i poczynił potrzebne przygotowania do zrobienia grogu. Swiatło w pokoju zgasiłem i usiedliśmy wraz z konowałem wygodnie przy oknie, spokojnie paląc fajki i pijąc grog. Strzelby z odwiedzionymi kurkami umieściliśmy obok siebie. Nie spodziewałem się, że się bestye zbliżą do ponęty przed godziną 9-tą, bo do tej pory w koszarach i stajniach ruch żywy aż do odgłosu trąbki na wieczornicę (retraite, alias komiśna polka), poczem dopiero następuje spokój w przybytkach Marsa, napełnionych bakcylami karności.

Księżyc oświecał jasno błonia, rozściągające się aż do lasu, śnieg błyszczał jak kryształ. Ścierwo nabierało fantastycznych kształtów, pojedyncze części można było rozeznać dokładnie. Wskutek wielkiego mrozu pękały gonty na dachu naszego budynku z odgłosem strzałów. Nie mówiliśmy, tylkośmy pykali swoje fajki i patrzyli pilnie na pole. Po niedługim czasie usłyszeliśmy dochodzące z daleka wycie wilka w niższym trochę tonie, za którem odezwały się zaraz inne. Uważaliśmy chwilę za stanowczą i co chwila spodziewaliśmy się, że zobaczymy nadciągającego wilka. Nareszcie, po dłuższem czekaniu zjawiła się ciemna postać od strony lasu, zaczęła się szybko zbliżać, lecz później zwolniła biegu przystępując do ścierwa. Konował siedzący obok mnie poruszył się i odezwał się cichutko, jakby chciał, aby nas wilk nie słyszał: „Panie poruczniku, melduję posłusznie, już jest wilk, będziemy teraz strzelać“. Był tak zdenerwowany radością, że byłby najchętniej strzelał zaraz z niemożliwego oddalenia. Dał się jednak uspokoić. Wilk przyszedł bliżej — mogłem go już bardzo dobrze poznać — usiadł i wytrzeszczał łakomo, jak mi się zdawało, ślepie na leżącą przed sobą potrawę. Upewniwszy się, że nic mu nie grozi, podniósł się żywo i ciągnął prosto i ostro ku ponęcie. Głód i chciwość wzięły górę nad ostrożnością. Mógłbym był już teraz wprawdzie strzelać, ale wilk gubił się w ciemnej masie ścierwa, tak, że byłbym go nie mógł wziąć na muszkę. Fatalna historya! Rozmyślając właśnie nad tem, co począć, aby trafić, widzę zbliżające się od lasu inne czarne punkta, które szybciej od pierwszego się powiększają i przybierając kształty, zbliżają się do ścierwa. Tem lepiej, myślę, historya może być bardzo zajmującą: chodźcie jeno. Niespokojny konował w największej irytacyi ciągle stęka półgłosem: „Jezus Marya, toż to straszna ilość wilków. Proszę pięknie i pokornie, panie poruczniku, strzelaj pan i ja będę strzelać, teraz mamy dość wilków“.

Było teraz dziewięć wilków zgromadzonych naokoło ścierwa, i po ich ruchach można było widzieć, jak chciwie żarły. Teraz albo nigdy, pomyślałem i otworzyłem powoli i ostrożnie ruchome okienko. Oddalenie było dokładnie wymierzone i wynosiło 50 kroków. Sprawowałem się cicho i ostrożnie, bestye musiały jednak przecież zwąchać zdradę, bo wszystkie się podniosły i mogłem dokładnie rozróżnić głowy i karki. Było jednak już za późno, bo w najbliższem okamgnieniu wziąłem środkowego na muszkę i wypaliłem z prawej lufy. Rozpierzchły się, miałem jednak jeszcze czas, z lewej lufy położyć drugiego. Wybiegliśmy szybko w trójkę, tym razem ze strzelbami, aby nam się znowu tak nie po-

wiodło, jak memu forysiowi zeszłego wieczora. Obydwie lufy były nabite grubemi lotkami, to też okok szkapy leżała tęga wilczyca zabita i mniejszy wilk strzelony w krzyże, wściekle na nas rozdziawiający paszczę. Aby mego towarzysza polowania, wielkiego Nimroda, który nigdy jeszcze wilka nie położył, za wysiłki tego wieczora wynagrodzić, pozwoliłem mu chromającego wilka strzałem dobić, z czego się niezmiernie cieszył i wskutek czego nabył jeszcze większej powagi wobec całego szwadronu. Odciągnęliśmy oba wilki do mego mieszkania i wypiliśmy jeszcze zasłużoną szklankę grogu, przy której nie mógł się konował dosyć naopowiadać o swoich bohaterskich czynach. Kłamał tak, że aż sam wierzył. Wysłuchałem go z namaszczeniem, aby mu nie zepsuć radości i położyłem się zadowolony na spoczynek.

W ten sposób zastrzeliłem tej samej zimy jeszcze kilka wilków i lisów, bądź w towarzystwie konowała, bądź sam i wspominam do dziś dnia chętnie o tych przepięknych księżycowych nocach, w których uprawiałem ten sposób polowania.



Kilka słów o nowościach w dziedzinie broni myśliwskiej.

Po ostatnich atakach skierowanych specyalnie przeciwko mym artykułom, nie mogłem długi czas wziąć się do pracy, gdyż obawiałem się, by me najlepsze chęci nie spotkały się znów z niezasłużoną, niechętną krytyką. Wprawdzie uznanie ze strony tak kompetentnej jak szanowna Redakcya, hr. Sumiński i p. Przedrzymirski, usunęło wszelkie zwątpienie i zniechęcenie, ale pomimo to, trzeba było dłuższego czasu, by się otrząsnąć z niemiłego wrażenia.

W ciągu tych kilku miesięcy uzbierało się nieco nowości, któremi chcę się niniejszem podzielić z czytelnikami:

Czterolufki. Na wielokrotne żądania swej klienteli sporządziło kilku fabrykantów broni czterolufki z dwoma lufami do śrótu a dwoma do kul. O zaletach i wadach tej nowej konstrukcyi trudno wydać sąd jakikolwiek, gdyż za mało zrobiono z nią doświadczeń praktycznych.

Taka czterolufka ma wygląd drylinga, dobrze zrobiona waży mało więcej niż dryling. Wielka to wygoda, mieć w ręce równocześnie dwuśrótówkę i podwójny ekspres, ale ja sądzę, że dokładne złożenie i ostrzelanie czterech luf według szyny i jednego nasadu musi rusznikarzowi sprawiać ogromne trudności. Co się tyczy ułożenia luf, to przyjęto trzy sposoby, a to: dwie lufy śrotowe obok siebie na wierzchu, dwie kulowe pod spodem, lub też odwrotnie, i trzeci sposób: jeden ekspres między śrótówkami u spodu, a drugi z wierzchu.

Nasad pierścieniowy. Zapewne wielu z czytelników wiadomo, że oprócz zwykłych nasadów, używanych do drylingów, büchsflint i sztućców, egzystuje mnóstwo najrozmaitszych rodzajów nasadów. Jednym z takich jest nasad pierścieniowy, który zwłaszcza krótkowidzom znakomite oddaje usługi. Już dawno są w użyciu samoczynne nasady przy drylingach, które się podnoszą przy posunięciu przesuwki na kulę. Zadaniem tych nasadów jest zapobiedz, by myśliwy przez pomyłkę nie strzelił kulą zamiast śrótem i naodwrót. Samoczynny nasad podniósłszy się ostrzega myśliwego, że teraz kula w pogotowiu. Pomimo samoczynnych nasadów zdarzały się jednakowoż pomyłki.

Pierścieniowy kształt nasadu ma cel podwójny, a to, samym kształtem i rozmiarem uderzającym w oczy, usunąć zupełnie wspomniane omyłki, jakoteż rozszerzyć pole widzenia.

Wszystkie inne nasady nakrywają częściowo zwierza przy celowaniu, podczas gdy w nasadzie pierścieniowym ukazuje się cały zwierz i oko myśliwego musi tylko zrównać punkt celny i muszkę środkiem pierścienia. Ten rodzaj nasadu ma być znakomity dla krótkowidzących i osób o wzroku wogóle nadwerężonym.

Pociski nowego kształtu. Wiadomem jest, że pocisk o głowie kończastej łatwo pokonuje opór powietrza i uzyskuje przezto większą siłę, razancyę i celność, aniżeli pocisk o głowie płaskiej. Natomiast pocisk o głowie płaskiej wybija w skórze zwierza dziurę, jakby sztancą i daje trop barwy, deformuje się silniej i wogóle daleko łatwiej kładzie zwierza, lub wzmaga szanse znalezienia postrzałka. Wielu specyalistów zastanawiało się nad tem, jakby to sporządzić pocisk, łączący zalety obydwóch i po długich próbach udało się to znanemu balistykowi i znawcy broni, p. Konradowi Eilersowi. (Nazwał on je Randkegelgeschosse). Stożek nasadzony na płaskiej powierzchni głowy pocisku przyczynia się do łatwego pokonania oporu powietrza, a krawędź wystająca działa jako sztanca.

Pociski z płaszczykiem papierowym. Prócz pocisków półpłaszczykowych, stalowych i aliażowych, (Legierungsgeschosse) weszły obecnie w użycie pociski z płaszczykiem papierowym na wzór szwajcarskich pocisków wojskowych. Pociski te mają wszystkie zalety łowieckie poprzednio wymienionych pocisków, a nadto nie niszczą tak i nie zanieczyszczają luf.

Tyle o nowościach w dziale broni, a teraz jeszcze kilka słów w kwestyi nabojów.

Silne ładunki do małych kalibrów i odwrotnie.

Jeden ze specyalistów w dziale balistyki i techniki broni, p. Wilh. Queisner, otrzymał od kilku znajomych zapytanie, czy byłoby korzystnem zrobić dwuśrótówkę n. p. kal. 20 na naboje 70 mm lub 75 mm długie tak, żeby można z kalibru 20 strzelać nabojami odpowiadającym kal. 16. i 12. Odpowiedź zamieścił p. Wilh. Queisner w jednem z najpoczytniejszych pism łowieckich, by z niej mogło korzystać więcej myśliwych.

Odnośny ustęp przytaczam dosłownie. (Mowa o dwuśrótówce kal. 20. na naboje 75 mm.)

„Broń tego rodzaju uważam za zbyteczną i niepraktyczną. Ciśnienie gazów jest przy małych kalibrach, już przy użyciu normalnych nabojów, stosunkowo znacznie większe, aniżeli przy kal. większych, wzmaga się zaś nadzwyczajnie, jeżelibym chciał n. p. do kal. 20. użyć naboju o sile odpowiedniej kal. 12. Aby więc broń to parcie wytrzymała, musiałaby być nader silnie i odpornie skonstruowaną. W ten sposób nie mogłaby być lekką, gdyż broń taka musiałaby ważyć $5^3/_4$ funta, więc tyleż właśnie, co kal. 12.

Dalej mniemają zwolennicy tej broni, że osiągną z niej dalekonośny, dobrze kryjący i ostry strzał. W poszczególnych wypadkach byłoby to możliwem, ale to samo uzyska się kal. 12. i silnym chokeborem, a do tego można używać łuski 65 mm, której wszędzie dostać można. Nadto broń byłaby niepraktyczna, gdyż dawałaby wprawdzie na dalsze odległości dobre wyniki, ale blisko strzelana zwierzyna zostałaby rozbitą z powodu nader zwężonego stożka rozrzucania, a nadto często byłaby chybianą. Przy strzale doznałby myśliwy bardzo silnego kopnięcia, którego również do przyjemności zaliczyć nie można.

Z powodów wyżej przytoczonych odradza używania podobnej broni.

Niejaki p. Dr. E. Dencker rozpisuje się na temat użycia słabych nabojów przy większych kalibrach. Nie myślę powtarzać jego wywodów, gdyż wiadomo wszystkim myśliwym, że prawie każdy z nich robi na przepiórki słabsze naboje, by tych delikatnych ptasząt nie rozbijać. Nadmieniłbym tylko to, że w porównaniu z nabojami normalnymi bardzo nierówno one kryją i podczas gdy doświadczenia p. Denckera wykazały przy normalnych nabojach 6 prc. różnicy między poszczególnymi strzałami, to naboje słabsze wykazały różnicę aż 25 prc.

Nowy sposób robienia nabojów. Jakiś anonim proponuje następujący sposób robienia nabojów. Wiadomo, że w naboju kulowym jest między prochem, a pociskiem przestrzeń wolna. Otóż anonim ów wziął stąd asumpt do sporządzenia nabojów śrótowych, w których między prochem a przybitką jest przestrzeń wolna. Sposób, w jaki to wykonał, opisany jest tak zawile, że trudno go wyrozumieć, a tem bardziej w zrozumiały sposób podać do szerszej wiadomości, to też go opuszczam, ograniczając się do zaznaczenia samego pomysłu. Pan ten przepisuje temu sposobowi nabijania następujące zalety: 1. szybkie spalanie się prochu; 2. niezmienność ziarn prochu; 3. zwężenie stożka rozrzucania; 4. większą ostrość strzału; 5. mniej znaczne zadymienie lufy i 6. tę dogodność, że robienie nabojów w rękach nie naraża na niebezpieczeństwo eksplozyi. Doświadczenia przez niego zrobione miały dać dodatnie rezultaty. Należałoby poczekać na zdania innych. Zamierzam doświadczenia te przedsięwziąć i zawiadomić o rezultatach czytelników. Na kwestyę tę pozwalam sobie także zwrócić uwagę naszych rusznikarzy.

W ostatnich miesiącach udało mi się otrzymać sprawozdania z doświadczeń, dokonanych z rozmaitymi gatunkami prochu bezdymnego tak z Halensee, jak i z Neumannswalde, które wszystkie dla müllerytu bardzo korzystnie wypadają, specyalnie zaś zaznaczyć należy stosunkowo małą prężność gazu, przy osiągnięciu chyżości równej lub wyższej, aniżeli u innych sort bezdymnego prochu.

Między wyrobami niemieckimi zbliża się najwięcej dla swych zalet do müllerytu proch z marką Rottweil. Otrzymałem również zestawienie doświadczeń porównawczych z prochem bezdymnym angielskim, niemieckim i austryackim, dokonanych u nas w Austryi, które rząd rozesłał do wszystkich, uprawnionych do sprzedaży prochu i amunicyi. Nie podaję szczegółów, gdyż każdy ciekawy może wglądnąć do tego sprawozdania u pp. rusznikarzy, u których nabywa broń i amunicyę.

W końcu muszę zauważyć, że w artykuł mój „o prochu bezdymnym, stosownej broni i łuskach“ wkradła się pomyłka, mianowicie na str. 101 w wierszu 15 z góry ma być nie 28 gr. śrótu, lecz „22 gr.“

M. R.

Foxterrier

i jego użycie do tępienia szkodników.

Napisał Rudolf Janotta, c. k. leśniczy.

Zalety psów tej rasy wynoszono już niejednokrotnie, czyniły to nawet powagi w tej dziedzinie (*„Dietzel Niederjagd“*, *„Deutsche Jäger Zeitung“* Nr. 10 i 11, pruski królewski starszy leśniczy Pelissier. Tom X.) sławiąc przymioty foxterriera, zwłaszcza przy łowach na kuny, tchórze, łasice, lisy, borsuki, koty domowe, włóczące się po lesie i polu, a nawet dziki.

Jakkolwiek prosty pionier w tej gałęzi, chcę jednak podzielić się z czytelnikiem doświadczeniem, nabytem przy łowach z parą foxterrierów, które wprost z Anglii sprowadziłem przed 3 laty i ułożyłem do polowania.

Przedewszystkiem tedy stawiam foxterriera, jako bardzo zażartego, wytrwałego prześladowcę szkodników wyżej od każdej innej psiej rasy. Każdego w polu lub w lesie napotkanego kota, jeżeli się zawczasu nie schroni na drzewo, duszą w tej chwili, kunę napotkaną, zmuszają do schronienia się na drzewie i naszczekują przy niej aż do nadejścia myśliwego; tchórza zagryzają natychmiast.

Ile razy szkontrując sągi w lesie usłyszałem koło sąga ujadanie i gryzienie jednego z polan, wiedziałem natychmiast, że pomiędzy podkładami, pod sągiem znajdzie się na spoczynku dziennym kuna, tchórz lub łasica. Potrzebowałem tylko poruszać żerdką, by spędzić szkodnika, którego dopadłszy psy zaraz dusiły, lub jeżeli to była kuna i na drzewo się schroniła, tam ją ubijałem.

Do wysadzania z jamy borsuka i lisa zaprawiałem foxterriery w towarzystwie ułożonego, starego i ciętego jamnika. Gdy dla starości musiałem go kazać zastrzelić, (sam tego nie zdołałem zrobić, bo był zbyt długo i zbyt przywiązanym uczestnikiem przygód łowieckich), przekonałem się, że foxterriery równie dobre a nawet lepsze usługi świadczyły w norze.

Pewnego dnia w miesiącu listopadzie 1901, idąc lasem podszytym gęstą jodłą, usłyszałem głoszenie i silne ujadanie psów w podrostach, po chwili słucham, ujadanie coraz bardziej przygłuszone, pospieszyłem więc w kierunku odgłosu i przyszedłem do jamy borsuka. W jamie może na $1^{1}/_{2}$ m. spostrzegłem, że mój pies (Pitt) coś szarpie albo dusi, więc nie namyślając się długo, zaczynam grubą okutą laską kopać, a że nie było to głębiej nad 40 cmt., w krótkim czasie dokopałem się jamy i psów. Po odgarnięciu ziemi rękami ujrzałem pyszny widok: Suka (Foxy) zastąpiła borsukowi otwór z jego, już na zimę przygotowanego legowiska do dalszej jamy i trzyma borsuka pod gardło z jednej strony, a pies z drugiej, tak że z miejsca się ruszyć nie mógł. Domacałem się tylnego skoku borsuka, zadzierżgnąłem nań sworę i po silnem mocowaniu wyciągnąłem wszystko troje na powierzchnię. Psy borsuka nie puszczają, więc uwiązałem borsuka do jodełki, odczepiłem psy i laską go dobiłem. Oba psy były przez borsuka dobrze pocięte; pies miał słuch rozdarty i dwie rany pod gardłem, suka zaś ten krótki ogon tak przecięty, że jej całkiem zwisł, jednak w przeciągu dni 14-tu używałem obojga z tym samym skutkiem.

Drugim razem postrzeliłem silnie borsuka (samicę), która się dowlokła do jamy, lecz psy ją do reszty zagryzły, oprócz tego zaś zadusiły jedno młode, a wypędziły z jamy drugie, które laską dobiłem.

Lisa starego zawsze z jamy wysadzą, a młode w jamach poduszą i wywloką.

Co się zaś tyczy użycia tych psów na dzika, to miałem bardzo wiele ciekawych wypadków, z których nadmieniam dwa:

W lecie roku 1900 z końcem lipca postrzelił chłop w nocy, na owsie, na swem polu silnego odyńca, o czem mi zaraz doniesiono dodając, że odyniec poszedł w las (zrąb), w wielką gęstwinę. Przyszedłszy na ślad, gdzie spostrzegłem farbę pomieszaną z kałem, puściłem nasamprzód Pitta na trop. Po krótkim czasie usłyszałem ujadanie psa na miejscu, puściłem wtenczas ze smyczy Foxy, która niebawem połączyła się z psem i rozpoczął się duet. Podsuwając się ostrożnie doszedłem na 15 do 20 kroków, ale z powodu wielkiego gąszczu nie mogłem nic zobaczyć, więc zawołałem „bierz świnię!“ Wtenczas psy się rzuciły na odyńca, a on zaczął zmykać przez potok na drugą ubocz, gdzie go psy osaczyły. Podsunąwszy się na miejsce ujadania, spostrzegłem odyńca siedzącego na tylnych skokach, odcinającego się psom, które mu do głowy doskakiwały. Bojąc się strzelić, by równocześnie i którego z psów nie ubić, zawołałem na psy „do nogi!“ wtem zdaje się odyniec korzystając z niebaczności psów, ciął a raczej wyrzucił Pitta na $1^{1}/_{2}$ m. w powietrze. W tym samym momencie wpakowałem dzikowi kule poza słuchy i dzik runął na miejscu. Pitt nie uważając na dotkliwą ranę w skoku, rzucił się na trzech skokach na odyńca i zaczął go obrabiać koło ryła. Gdy się psu przypatrzyłem, miał biedak tylne udo wysoko na wskróś rozdarte, co jednak mu nie przeszkodziło za miesiąc z podobnym odyńcem iść w zapasy i tak:

Polując z mymi psami i trzecim kundlem na dziki, zraniłem silnego odyńca. Psy goniły z wielkiem ujadaniem za nim, z czego zaraz wnioskowałem, że mają farbę i że osaczyły go na zrębie, w gęszczaku jodłowym. Podsuwam się ostrożnie na odległość 50 kroków, widzę od czasu do czasu psy doskakujące do dzika, gdyż zdawało mi się, że kontury jego widzę. Stanąwszy na każdą ewentualność na szerokim pniaku na 30 kroków, zawołałem „bierz świnię!“ W tym momencie wypada odyniec sztychem na mnie, a ugodzony kulą w czoło runął na cztery kroki przed pniakiem, a psy już siedzały na nim. Tu nadmienić muszę, że szczególnie dobre są te psy za postrzelonym dzikiem.

Pomimo, iż są amatorowie do dziś dnia polujący z gończakami na sarny, zające, które to polowania powinny już do przeszłości należeć, gdyż jest to tylko rozpędzaniem i ruiną zwierzostanu, ja jednak używałem foxterrierów do polowania na sarny, zające, lisa na prywatnych polowaniach w niedostępnych potokach, i mojem zdaniem z lepszym skutkiem, niż ze zwykłymi gończakami, bo gdy gończak goni czasem całe pół dnia i ja go nie widzę, a tem samem zwierzynę rozgania, moje psy gonią najwyżej pół godziny i jeżeli się zwierz daleko odsadza i nie wraca na strzelca, one wracają i prędko innego zwierza szukają, przez co częściej do strzału przychodzę, znając zwłaszcza dokładnie przesmyki zwierzyny.

Dla wspomnianych zalet są te psy nieocenione przy tępieniu szkodników, więc szczególniej mogą się nadać w naszym kraju, a jakkolwiek przy układaniu i wprawianiu wymagają sporej dozy cierpliwości — to trud ten opłaca się sowicie, gdyż raz ułożone, nastręczają tak przyjemne chwile, że myśliwy nie zamieniłby ich za jakąkolwiek inną łowiecką rozrywkę. Ostatecznie ośmielam się polecić te psy szczególnie moim zawodowym kolegom, ale nie takim, co nasz zawód uważają za dojną krowę, ale takim, którzy z powołania są leśnikami i myśliwymi i którzy rzeczywiście kochają ten nasz las i tę zwierzynę. Hodując las, hodują i zwierzynę, gdyż jedno bez drugiego nie dą się absolutnie pomyśleć. Każdy z kolegów może sobie pozwolić na nabycie foxterriera, bo utrzymanie tej rasy psa bardzo mało kosztuje.

Sprawozdania delegatów.

Zjazd łowiecki w pow. borszczowskim.

Wysuczka, 24. września 1902.

Komitet zabawowy wybrany na zjeździe myśliwych powiatu Borszczowskiego, w którego skład wchodzili: pp. Witosławski, Kochanowicz, Feldschuh Maurycy, Welenowski, Szymkajło, Gryglaszewski i niżej podpisany, urządził w dniu 21-go września na górze zamku Wysuckiego zabawę, której najgłówniejszą treścią było strzelanie do tarcz stałych i ruchomych, za nagrodami.

Urządzona na ten cel strzelnica na wzór strzelnicy wojskowej na Kortumówce, dała biorącym udział zu-

pełne bezpieczeństwo i wyborną zabawę myśliwską.

Przy strzelaniu do tarcz stałych wzięło udział 17 towarzyszy, z których za najcelniejsze strzały otrzymali:

1. Towarzysz Wychowski nagrodę galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, magazyn na ładunki z białej skóry.

2. Towarzysz Szymkajło nagrodę komitetu, kordelas.

3. Towarzysz Janowski nagrodę hr. Mieczysława Borkowskiego, piękny puhar.

4. Towarzysz Eustachiewicz nagrodę p. Maurycego Feldschuha, flobert.

Przy drugiem strzelaniu do biegnącego dzika wzięło udział 18 towarzyszy, nagrody za celne strzały otrzymali:

1. Towarzysz Kochanowicz nagrodę Prezesa komitetu, orła z brązu postawionego na rzeźbionym postumencie kryształowym.

2. Towarzysz Gottwald nagrodę komitetu, necesser myśliwski.

3. Towarzysz Welenowski nagrodę członka jury, p. Mühlnera, radcy namiestnictwa, zegarek z kości słoniowej.

4. Towarzysz Cyryl Czarkowski-Golejewski nagrodę Prezesa komitetu, nóż myśliwski do rozcinania kartek.

Przy trzeciem strzelaniu do biegnącego lisa wzięło udział 13 towarzyszy, nagrody otrzymali:

1. Towarzysz Łobodzki nagrodę członka komitetu p. Witosławskiego, flobert.

2. Towarzysz Welenowski nagrodę członka komitetu p. Kochanowicza, torbę siatkową na ptaki.

3. Towarzysz Tychowski nagrodę p. Cyryla Czarkowskiego-Golejewskiego, torbę skórzaną myśliwską.

4. Towarzysz ks. Papeł Sapieha nagrodę członka jury p. Dłuskiego, koc wełniany.

5. Towarzysz Cyryl Czarkowski-Golejewski nagrodę swoją, jelenia z brązu.

Przy czwartym strzelaniu do kul szklanych wzięło udział 17 towarzyszy, z których nagrody wzięli:

1. Towarzysz Łobodzki nagrodę pań, piękne album na kartki z widokami.

2. Towarzysz Welenowski nagrodę Prezesa komitetu, manierkę.

3. Towarzysz Gottwald nagrodę p. Szymkajły, manierkę.

Oprócz powyższego strzelania, urządzoną była dla pań strzelnica flobertowa równie za nagrodami, nie wiele pań brało udział w tem strzelaniu, a to z tej przyczyny, że chłód nie pozwalał zdjąć ze siebie ciepłego okrycia, a powtóre, że początek każdy jest trudny, krewkość jednak u niektórych pań zwyciężyła. a z pomiędzy kilku biorących udział otrzymały nagrody:

1. Panna Feldschuh córka właściciela Borszczowa, nagrodę Prezesa komitetu, dwa białe żywe gołąbki.

2. Pani Gryglaszewska nagrodę członka jury p. Rudnickiego, dwie kaczki.

3. Panna Heinrich nagrodę członka jury p. Dzierżka, gęś żywą.

Po skończeniu strzelania podczas, którego muzyka przygrywała, nastąpiło rozdanie nagród podług oceny uproszonych hr. Mieczysława Borkowskiego, pp. Dłuskiego, Rudnickiego i Dzierżka, które to nagrody otrzymywali z rąk pani Mühlnerowej i Witosławskiej.

Nastąpiło puszczenie balonu ku ogromnej uciesze gawiedzi miejskiej, następnie ognie sztuczne, których puszczaniem zajmywał się p. Niemczewski i Gryglaszewski. Na tańce nie pozwolił ani chłód wieczoru ani rosa obfita, to jednak tylko odwleczone, bo członkowie galicyjskiego Towarzystwa łowieckiege zamieszkali w powiecie Borszczowskim, nie dają za wygrane i tego punktu programu nie darują i powetują tę stratę najbliższym razem.

To są szczegóły, a przechodząc do ogólnej oceny takich zjazdów i takiego łączenia się powiem, że to ma wiele dobrych stron za sobą, naprzód każdy się poczuwa do solidarności i jednomyślnego działania w kierunku dodatnim dla łowiectwa krajowego; po drugie podnosi się ducha rycerskiego przy takich zjazdach; zagrzewa się innych do wstępowania w ślady i łączenia się do wspólnych celów; wyrabia się emulacya między myśliwymi, której rezultatem może być wykorzenienie tak powszechnego kłusownictwa.

Mojem zdaniem panowie delegaci powinni po wszystkich powiatach urządzać takie zjazdy i łączenie się, a z czasem powstanie wielka jedna drużyna karna i tęga myśliwska w kraju, umiejąca ocenić to, że łowiectwo nie tylko powinno dawać rozrywkę dla jednostki lecz powinno być racyonalną gałęzią gospodarstwa krajowego. *Czarkowski-Golejewski.*

Korespondencye.

Podkamień, we wrześniu.

Wbrew twierdzeniu ornitologów, którzy tak zawzięcie bronią niewinności myszołowa, i w naszej ustawie wyjednali mu ochronę, donoszę, iż tu w ciągu tygodnia, aż trzy myszołowy zostały schwytane na gorącym uczynku. Jeden w Łowczycach na bażancie, a dwa w Podkamieniu na młodych zajączkach.

Twierdzę ze stanowiska myśliwskiego, że każdy ptak, który nosi krzywy dziób i pazury, jest dla zwierzostanu szkodliwym i winien być tępionym, pomimo ustawy, która, jak wiemy, z tylu względów, tak jeszcze jest wadliwą. *L. Starzeński.*

Dnia 12 września 1902.

Już parę razy czytałem w „*Łowcu*“ wezwanie, by wszyscy myśliwi według swej możności nadsyłali korespondencye, choć mniej piękne co do formy (bo nie każdemu dany piękny styl) i mniej w treść bogate, a już redakcya sama, jeśli odpowiadać nie będą, do kosza je wrzuci. W ostatnim numerze „*Łowca*“ podobne wezwanie umieścił hr. Bielski z Rychcic, wspominając, że wie prywatnie o pięknych bardzo wynikach polowań, o któ-

rych w „*Łowcu*“ ani śladu; jak o czterdziestu sześciu kozłach w dwóch i pół dniach na podjeździe zabitych.

Pomyślałem, że kiedy już na takich godach być nie mogę, chętniebym przynajmniej przeczytał o tych podjazdach w „*Łowcu*“, bo pewnie niejeden ciekawy epizod musiał się przytrafić; podjazd to nie nagonka i każdego rogacza strzela się wśród innych okoliczności. To spowodowało mnie do napisania tych kilku wierszy, choć właściwie nie ma co, lecz gdy każdy pisać będzie, przecież niejedna ciekawa korespondencya się trafi. Na podjazd zacząłem polować przed pięciu laty i od tej pory zabicie kozła przed nagonką nie sprawia mi żadnej satysfakcyi, i u siebie, nigdy już inaczej, jak tylko na podjazd, na rogacze nie poluję. Mając tylko małą knieję, preliminuję rocznie do odstrzelenia sześć do dziesięciu rogaczy, strzelam ze zwykłego ekspresa ekspanzywnemi kulami i przekonałem się, jak wielki zapas sił żywotnych nieraz kozioł posiada. W zeszłym roku strzeliłem do rogacza, pasącego się na kraju zrębu, po paru susach wolnym krokiem poszedł w głąb. Prędko objechałem zrąb, żeby mu przeciąć drogę i rzeczywiście zdybałem go o paręset metrów od miejsca strzału. Zobaczywszy mnie chciał uciec, lecz po kilku skokach przewrócił się w krzakach, a gdy do niego przyszedłem, już tylko słabe znaki życia dawał; kula siedziała z lewej strony za łopatką, a po rozebraniu go w domu przekonałem się, że miał całe płuca poszarpane; pomimo tego taką przestrzeń jeszcze uszedł i gdybym się nie był szczęśliwie z nim spotkał, mógł łatwo w krzakach przepaść. Tego roku takie dwa rogacze, strzelone w samą komorę, dopiero po kilkudzięsięciu metrach upadły. Podjazd w tym roku nędzny; do tej pory zabiłem wszystkiego cztery rogacze i choć już starsze, parostki miały bardzo słabo rozwinięte. W moich stronach sarny widocznie źle przezimowały, włos póżno zmieniały i powoli, a kozły bardzo długo z nieoczyszczonemi parostkami chodziły. Sam znalazłem przy linii dwie sztuki nieżywe i u obydwóch skonstatowałem motylicę a w sąsiednim lesie miała straż znaleść siedm czy dziewięć sztuk padłych także na motylicę. Motylica musiała i w innych stronach znaczne szkody wyrządzić wśród sarn, gdyż w trzech rewirach, obejmujących razem około trzy tysiące morgów lasu, a należących do bliskich mi osób znalazła straż 34 sztuk nieżywych. Dziwi mnie, że prócz jednej korespondencyi, nic o klęsce sarn w „*Łowcu*“ nie czytałem i tłumaczę to sobie tem, że przeważna część myśliwych polując tylko w zimie, nie zdała sobie jeszcze sprawy z dość znacznego ubytku sarn i że dopiero później dadzą się słyszeć skargi na ich brak.

F. B. M.

Sokołów koło Stryja, 11. września 1902.

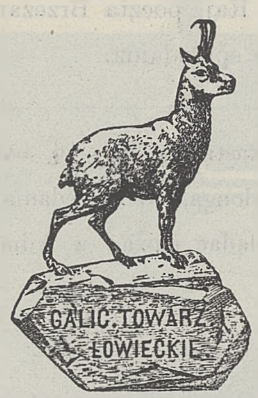
Doświadczyliśmy już, że rok bieżący jest pod względem temperatury anormalnym — nie ma miesiąca prawie — w którym co do temperatury nie doświadczylibyśmy przynajmniej trzech pór roku naraz — wiosny, lata i później jesieni, dopiero wrześnień stara się wynagrodzić ciepłem krzywdy, wyrządzone nam przez lato. Jak się wobec takich upałów odbędzie rykowisko, jestem bardzo ciekawym i mam nadzieję, że wkrótce nasi towarzysze, ci szczęśliwcy, którzy na niem będą, podadzą nam swoje spostrzeżenia. Ale nie tylko anormalnym jest ten rok co do temperatury, ale co zatem zdaje sie idzie, anormalnym także co do życia świata zwierzęcego. Niektóre spostrzeżenia chcę dziś podać, a pozwalam sobie prosić towarzyszy ze znaku św. Huberta, o podanie także swych spostrzeżeń w „*Łowcu*“, aby nabrać przekonania czy te zjawiska są stałe, czy wyjątkowe i tak: z końcem lipca nie można było spotkać dubelta na lekarstwo, tymczasem gdzieś od połowy sierpnia aż do teraz, ile razy pojedzie się na błota, zawsze jednego lub dwa dubelty spotkać można, to samo kszyków ilość bardzo mała, ale jednak co do ilości stała, tak, że to robi wrażenie, jak gdyby ktoś taką a taką, ale prawie stałą ilość na usilne żądanie liwerował. W świecie kuropatwim dezorganizacya jak w Radzie Państwa: są stadka zanadto już lotne, stadka miernie lotne, stadka, których jeszcze strzelać nie można — to samo w świecie bażańcim. Tydzień temu spotkano kurę z młodemi, które może ze dwa tygodnie jak z jaj wylazły, zajęcy całkiem małych także dużo, no, ale to jest jak na wrzesień dość normalne, wczoraj zaś to jest 9-go września, spotkałem o szóstej wieczorem, wracając z lasu, stado bocianów, złożone z jakich trzydziestu sztuk i to lecące z wielkim pospiechem z południa wprost na północ. Więcej niż dwa tygodnie minęły, jak żadnego bociana nie widziałem, wogóle nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu większą ilość bocianów w połowie września u nas w kraju widział, a trzeba było widzieć, z jakim zapałem leciały na północ, tak jakby broń, Boże, spóźnić się obawiały. Z tego wszystkiego wynika, co sądzę, każdy mi przyzna, że albo będzie koniec świata, albo go nie będzie, ale strach bierze pomyśleć co będzie z ciągiem słonek? czy i one nie wezmą jesieni za lato, a północy za południe!

Stanisław Matkowski.

Lwów, 28. września 1902.

Powiat przemyślański cieszy się w tym roku bardzo pięknym stanem kuropatw. Polując dnia 20-go września po południu z W. Jankowskim w Połtwi w ciągu dwu godzin ruszyliśmy 6 stad i nie odszukując żadnego stada po raz drugi ubiliśmy 11 kuropatw i 5 przepiórek. W tem polowaniu naszem nie byłoby jednak nic nadzwyczajnego, gdyby nie ta okoliczność, że chociaż ubiliśmy tylko jedenaście kuropatw, na trokach znalazło się ich trzynaście. Dwie ostatnie zabiły się same, a stało się to w naszych oczach w następujący sposób: Ruszone o zmroku stado porwało się daleko bez strzału i ciągnęło tuż obok mostu kolejowego na rzece Pełtwi na drugą stronę toru, przyczem dwie kuropatwy uderzyły się o druty telegraficzne, jedna padła na miejscu, a drugą z przetrąconem skrzydłem pies zaaportował. Notuję to zdarzenie, ponieważ miało miejsce zaledwie w parę minut po zachodzie słońca, a muszę też nadmienić, iż zarówno nasi jak i niemieccy badacze (n. p. Diezel w swem dziele „Niederjagd“) sławią nadzwyczajną bystrość wzroku kuropatw. Ileż to ptaków w ten sposób ginąć musi! Dotychczas słyszałem tylko o długodzióbach, że nieraz o druty się zabijają — najczęściej słonki podczas ciągu, o czem sam się przekonałem.

Leopold Łysakowski



Sprawy Towarzystwa.

Odezwa.

W interesie należytej gospodarki funduszami Towarzystwa prosimy usilnie wszystkich zalegających z zapłaceniem wkładek Członków Towarzystwa, aby wkładki te jak najrychlej uiścili. Spodziewamy się, że prośba ta nie przebrzmi bez skutku i że wkładki wszystkie, tak za r. 1902, jak i za lata poprzednie, bezzwłocznie do kasy Towarzystwa wpłyną.

Zarząd.

Kronika.

Ilość zabitej zwierzyny w Prusiech. Na przestrzeni 34·25 milionów hektarów zabito w r. 1901 w Prusiech łosi 9, jeleni 15.000, danieli 8.600, sarn 110.000, dzików 9.400, zajęcy 2,273.000, królików 314.000, lisów 85.000, borsuków 5.000, wydr 4.100, żbików 630, kun 10.900, tchórzów 27.000, łasic 24.000, psów morskich 590, bobrów 17, wilków 4. Z lotnej zwierzyny głuszców 400, cietrzewi 6.000, jarząbków 2.250, kuropatw 2,522.000, przepiórek 103.000, bażantów 139.000, dropi 829, słonek 41.300, bekasów 52.000, łabędzi 280, gęsi dzikich 3.400, kaczek 270.000, kwiczołów 1,296.000, czapli 16.700, kromoranów 510, orłów 244, puhaczy 190, innych sów 350, drapieżców nie wymienionych tu gatunków 119.500.

Wyprawy myśliwskie do Afryki wschodniej i Ugandy urządza Boustead Bros w Londynie 3 & 4 Fenchurch Street.

Wizyr okrągły. Zaczęto używać przy strzelbach śrótówkach wizyru w kształcie pierścienia, podobnie jak przy sztućcach wizyru w kształcie prostokątnej ramki. Wizyr pierścieniowy ma się przyczyniać do większej precyzyi w mierzeniu, wskutek czego umożliwia dalsze strzały.

Z Ameryki. Pewien osadnik w stanie Maine zdobył sobie w ostatnich czasach wielką sławę jako nadzwyczajny tępiciel lisów za pomocą paści. Sukcesy jego były otoczone tajemnicą, którą dopiero niedawno odsłonił przed swoimi sąsiadami. Sprawił on sobie dla własnej i dla swoich sąsiadów przyjemności fonograf i pewien zapas walców woskowych. Przypadkowo odbiło się na świeżym walcu gdakanie kury, która znalazła się przed przyrządem i fonograf powtarzał potem to gdakanie ku wielkiej uciesze licznych słuchaczów. Przemyślny osadnik postanowił użyć takiego fonografu jako wabika — sprowadził większy przyrząd i uwięził w nim głos kury, wabiącej pisklęta — i głos tych piskląt. Potem zaniósł przyrząd do lasu, wykopał dół, umieścił w nim fonograf, nakrył gałęziami i obstawił całe miejsce paściami. Odpowiedni przyrząd zegarowy wprawiał fonograf co jakiś czas w ruch. Skutek był znakomity — zaraz pierwszej nocy złapały się dwa lisy, następnie padła ofiarą znaczna ich liczba. Ktoby nie wierzył, niech jedzie do Ameryki przekonać się o prawdziwości faktu.

Kłusownicy. W Hagen. w Westfalii, stało d. 6-go sierpnia przed sądem karnym trzech kłusowników, oskarżonych o nastawianie sideł na zwierzynę i o niebezpieczne groźby przeciw strażnikowi. W lutym br. nastawiła ta trójka hultajska w 24 miejscach druty — i w wielu miejscach ze skutkiem — znaleziono bowiem kilka poduszonych zajęcy, z wyszłymi na wierzch trzeszczami i połamanymi przy rzucaniu się na drucie członkami. Drzewka, przy których umieszczone były druty, ogryzione były na około na pół centymetra — niektóre bowiem z tych nieszczęśliwych zwierząt próbowały w ten sposób uwolnić się od duszącego je drutu. Zającom, które rzucały się jeszcze na drutach rozgniatali kłusownicy głowy obcasem — która to operacya oczywiście nie odrazu się udawała. Na jednym z drutów znaleziono na pół żywą sarnę, padającą już z głodu, której szyja spływała krwią z rany, od druta uczynionej. Trybunał skazał jednego z kłusowników na sześć, dwóch na pięć miesięcy więzienia.

Wilki we Francyi. Ogłoszony przez ministerstwo rolnictwa wykaz świadczy, że we Francyi zabito w r. 1901 wilków 155 i wypłacono za nie 10.150 fr. tytułem premii. Ustawa przyznaje za ubitego wilka 100 fr. — za szczenną wilczycę 150 fr. Z zabitych 155 wilków przypada 29 na departament Dorgogue, 22 na departament Meuse, 16 na departament Doubs, 15 na departament Marne, 14 na departament Haute-Vienne, a 12 na departament Wogezów.

Kalendarz łowiecki.

Październik.

Wolno strzelać wszystko.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^{1}/_{2}$ ct. od wyrazu).

LEŚNIK z kilkuletnią praktyką, ukończoną szkołą lasową w Bolechowie, i z egzaminem państwowym, poszukuje posady. — E. Ossowski, Krzywcza nad Sanem, k. Przemyśla.

PARA CHARTÓW KRYMSKICH rasowych 9-cio miesięcznych (pies czarny, suka biała) jest do sprzedania. Bliższe wiadomości: „Książę Stanisław Jabłonowski (junior), Bursztyn“.

Zarząd dóbr Raj, poczta Brzeżany, posiada cztery młode łabędzie do sprzedania.

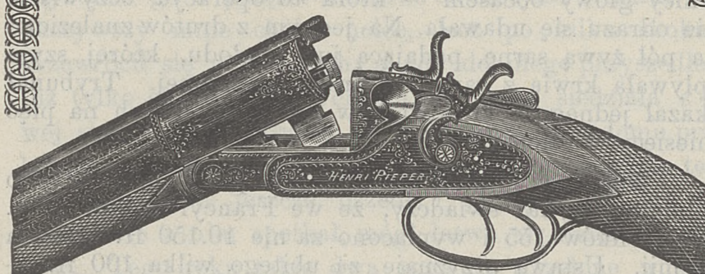
Strzelba lankastrowa, kal. 16, bardzo dobrze zachowana, roboty Peterlonga, do sprzedania za 60 zł. (kosztowała 120 zł.). Oglądać można w Administracyi w godzinach urzędowych.

PUHACZA dla strzelania jastrzębi i wron kupi Agenor Łobodziński, w Psarach op. loco.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Exprcsy, pojedyncze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Skład win herbaty i rumu

PIOTRA MIKOLASCHA i Sp.

we Lwowie

poleca w najlepszych gatunkach

herbatę chińską i ceylońską

firmy C. Trau w Wiedniu

C. k. austr.

i ces. japońskiego nadwornego dostawcy

po cenach oryginalnych.

Herbata Congo Nr. 3 . . .	½ kilo K.	3.—
„ Souchong Nr. 4 . . .	„ „ „	3.—
„ Wysiewki Nr. 2 . . .	„ „ „	2·50
„ „ Nr. 1 . . .	„ „ „	3·50
„ Ningchow wysiewski	„ „ „	4.—
Pecco Congo Nr. 1	„ „ „	5.50
Herbata kwiatowa przednia	„ „ „	6.—
Sansinsky Nr. 1	„ „ „	7.50
Herbata Melange czarna wybrana dla **Kasyna Narodowego**	„ „ „	9.50
Herbata Moning Nr. 1 najprzedniejsza z nowego zbioru .	„ „ „	9.50

do nabycia w paczkach po ¼, ⅛, $^{1}/_{16}$ Kilo.

Zamówienia od 20 K. franco i opłatnie.



KAPELUSZE, CZAPKI, FILCOWE i LODENOWE.

BUTY i BERLACZE DO POLOWANIA.

KALOSZE PETERSBURGSKIE.



POLECA

Kazimierz Bielczyk

LWÓW, Halicka l. 21. Cennik ilustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.